Rozmaitości

DNIA 28. LUTEGO Ner. 9. 1835 ROKU.

DWIE CIERNIOWE KORONY.

Przekład z francuzkiego Henryka Berthoud.

1.

»Wielebny ojcze, śniadanie już czeka.« Z tém ważném doniesieniem weszła stara ochmistrzyni donna Izabella, a pewna dobrego przyjęcia, przybrała pocieszną uroczystość.

Ale jakże musiała się zdumieć, gdy czcigodny ojciec don Maciej Kardozo, miasto podnieść się ze stołka i zasiąść przy śniadaniu, skinął ręką, aby nie ważyła się przerywać mu pracy, którą nie przestawał kończyć; a widać, że mocno nią zajęty, bo od samego rana siedzi w wygodnym szłafroku przed biórkiem założoném papiérami. Wyraz twarzy staruszki widocznie przeciągnął się do złego humoru; jednakże po małém wahaniu się wyszła na palcach, odkładając na czas poźniéjszy uwagi, które miała przełożyć wielebnemu ojcu, nad niedogodnością śniadania o nie swojéj porze. Z głową opartą na lewéj ręce, a w prawéj trzymając pióro, robił duchowny palcami prawéj ręki jesta, jakich zwykle używają po szkołach do skandowania wiérszy łacińskich; co chwila jednak folgował palcom, a wtedy pisał słów kilka: i znowu mazał napisane wyrazy, i znowu skandował, i znowu pisał. Takowa czynność trwała przeszło ćwierć godziny. Na końcu wydał okrzyk tryumfu, najradośniejszy, na jaki może się zdobyć autor przy ukończeniu dzieła. Na ten odgłos, donna Izabella trochę kwaśna, trochę przymilająca, weszła i pewnym tonem przygany, w któréj przebijał się cień wewnętrznego zadowolenia, rzekła:

»Przecież raz już wielebny ojciec będzie śniadał.« Miasto odpowiedzi don Maciej Kardozo, który zajęty wiérszami, wzad i wprzód się przechadzał, stanął nagle, i rzucił kilka poprawek na rozłożony papiér.

»Wielebny ojcze, czokolada zepsuje się, że i w usta nie weźmiesz; ręczę, że się zepsuje.«

Ale darmo; księdzu siedział w głowie jeszcze jeden źle ukuty hexametr, tak, że się nie mógł uspokoić, dopóki ostatniém uderzeniem młota, jak rozpalonemu żelazu, nie nadał przyzwoitego kształtu. Nareszcie dokonał swego, sławnym, niespodzianym pociągiem pióra; papiér odrzucił i zawołał:

»Skończone! nie tknę się więcéj! nié ma co mówić. Skończone! skończone!«

»Więc ojciec wielebny będzie śniadał?« rzekła donna Izabella otwiérając drzwi wiodące do sali jadalnéj; gdy jakiś młodzieniec wszedł lękliwie, w ręku trzymał gruby zwój kitajki, który złożył przed księdzem na biórku.

»Ach! ach! witaj, w samę porę przyszedłeś młody mój malarzu! Jakito Bóg cudowny! już nie liczyłem wcale na te chorągwie, które zamówiłem u ciebie na nadchodzącą uroczystość Sgo Ignacego Lojoli. Zobaczmy..... Przedziwnie! przedziwnie mój synu! wybornie! ta głowa dziewicy jest utworem jenijalnego natchnienia — ! rysy wykończone, okrągłe i czyste. Zamiast przyrzeczonych trzech dukatów, masz oto dwadzieścia. Pracuj tylko, pracuj młodzieńcze; doskonały ze mnie znawca! a to dzieło twoje,« dodał uderzając ręką po chorągwiach, »piękną zapowiada przyszłość.« Młodzieniec, płonący radością, z natężeniem słuchał słów sędziwego starca.

»Przykładaj się pilnie do pracy, rozumiész mię, nie ograniczaj się na samych tylko przedmiotach malarskich; języki starożytne są ci nieodzownie potrzebne; abyś mógł wnikać w wielkie poetów pomysły; nade wszystko

zgłęb ducha biblii, gdzie współcześni malarze, jak w nieprzebranéj studni czerpią przedmioty do obrazów swoich.«

»Wychowanie moje nie jest tak dalece zaniedbane, jak wnosić każe ubóstwo mojéj sukni. Umię nieco łaciny...«

»Co mi powiadasz! a to mię cieszy; ciekawym doświadczyć twojéj nauki! Naprzykład to — przerwał duchowny, uradowany, że ma komu nowo-poczęte wiersze przeczytać — »posłuchaj więc tego nagrobku i przełóż go dobrym portugalskim językiem.«

»Sprobuję, lubom Hiszpan i nie wiele posiadam portugalszczyzny.«

»Usiądźże i słuchaj —«

»Ojcze wielebny śniadanie od dawna czeka,« jeknęła z boku donna Izabella, prawie w rozpaczy. Kanonik, nie szukając wymówki zaczął czytać świéżo-napisany nagrobek rytmem elegiackim, a gdy skończył, młodzieniec wykrzyknął:

»Hexametry i pentametry, wyborne! dobitne, silne, dźwięczne, w smaku starożytnym!«

Kanonik zapomniał o wszystkiém z radości: »A tłumaczenie?«

»Tu spoczywa Nazo w wierszu elegiackim,
»Horacy w liryce, Marcialis w epigramacie,
»w bohaterskiém pieniu Wirgili. Portugalio!
»miecz jego i pióro dźwigają sławę twoje.
»Mars i Apolin uszlachcili dłoń jego. Pieśnią
»swoją w Indyjach zdrój kastelski otworzył,
»wody Gangesu ulękły się grotów wieszcza.
»Portugalija zdumiała się, kiedy jéj ze Wscho-
»du przynosił, miasto skarbów złotych, rymy,
»jenijuszu owoce. Jakoż dość się ojczyznie za-
»służył, gdy błyskał orężem, więcéj, gdy pisał
»sławne jéj dzieła. Włochy, Francyja, Hi-
»szpanija tłumaczyły wiersze jego, bo jakiż
»kraj takiego wieszcza nie radby synem swo-
»im nazywać?«

»Wolno jest go tłumaczyć, wyrównać mu nie wolno: sam tylko podobień sobie, nikt z nim w równi nie stoi, nikt drugi, jak on nie będzie.«

»Wybornie! synu mój! wybornie!... zgadłżeś proszę, dla kogo mógłem złożyć ten nagrobek?«

»Dla Ludwika Kamoensa.«

»Tak!... ktoby się był spodziéwał, że ten biédak umiérający na łożu szpitalném, któremu niosłem ostatnią pociechę, jest największą sławą Portugalii.«

»Więc, ojcze wielebny, byłeś w ostatnich chwilach przy łożu Kamoensa?« przerwał młodzieniec z żywém wzruszeniem. »Ach! chciéj mi skréślić każde jego poruszenie, powtórzyć każde słowo!«

»Czy ojciec wielebny wcale dziś śniadania jeść nie myśli?« rzekła z pospiechem donna Izabella, blada od złości.

»Jednego wieczora, dziécię moje, przechodziłem obszérne sale szpitalu Santa-Crux, którego jestem jałmużnikiem. Między mnóstwem nędzarzy jęczących na łóżkach, postrzegłem obok chorego, który tylko co ducha wyzionął, jakiegoś człowieka z wyrazem twarzy szlachetnym i pełnym rezygnacyi. Przystąpiłem i podałem mu krucyfiks:

»Umarł na krzyżu,« rzekłem, »wypił kielich goryczy.« Chory podniósł się, przyjął Chrystusa w ręce mdlejące i do ust przyłożył.

»*Spes mea in Domino*, rzekł po cichu, i dodał po małym przestanku: »Ojcze mój, chceszli dopełnić ostatniéj woli umiérającego?«

»Synu mój! dopełnię czego żądasz, jakbyś mi rodzonym był bratem.«

»Posłuchaj więc. Widzisz te papiéry: dla wyratowania ich wyskoczyłem był z szalupy, na którą schroniłem się po rozbiciu okrętu; dla wyratowania ich walczyłem dwie długie doby ze śmiercią, na kawałku masztu, rzucony na niezmierność Oceanu. Lecz kiedym na nich pisał... kiedym pisał! wyrzekłem się fortuny, uciech, młodości, wszystkiego —. A teraz!... o!... przysięgniéj mi na ten krucyfiks, na zbawienie duszy swojéj, że nie dociekając kto jestem, rzucisz je wszystkie na ogień; przysięgniéj!«

»Wahałem się — wahanie wyczytał w oczach moich.«

»Ognia! ognia! zaklinam!... ognia! bo umrę przeklinając cię! — ognia! bo wiary się wyprę, a ty zabijesz mię na duszy. Księże! przed sąd Boga cię powołam.«

»Rozpacz jego była tak gwałtowna, że, choć nie rad, musiałem uledź. Przyniesiono naczynie z ogniem; położył papiéry na węglach, i z tęskną radością patrzał, jak płonęły; a gdy już sam tylko popiół pozostał: »Błogosław mię ojcze mój,« zawołał, »odpuść mi grzéchy, dużo ja, dużo wyciérpiałem, życie było mi pokutą. Widzisz, Bóg mi włożył na głowę ciężką koronnę, która kaléczyła i paliła mię,

której kląłem tylokrotnie, którą zerwać i zdeptać chciałem. Ileżem wyciérpiał! Boże mój! Boże! Człowiek z jenijuszem, ileż przekleństw odbiéra! Szczęśliwy, kto się w ciemnocie i mierności urodził, kto w ciemnocie i mierności żyje, w ciemnocie i mierności umiéra. Szczęśliwy! o zaiste, szczęśliwy!«

»Któż ty jesteś, który tak jenijusz przeklinasz?« Gorzko się rozśmiał, wzniósł oczy do nieba, coś niby chciał wyrzéc, opadł i—skonał.«

»Zgrozą przejęty oddaliłem się, i niespokojny zapytywałem siebie, kto był ten człowiek? Nazajutrz chciałem jeszcze oglądać jego śmiertelne zwłoki, ale go już rzucono do wspólnego dołu z drugiémi trupami. Pokazano mi tylko niektóre papiéry zostawione w głowach łóżka, między niémi znalazłem jeden sonet włoski z podpisem: Torquato Tasso; napisany do Ludwika Kamoensa.«

»Spalił swoje płody! wydziedziczył niewdzięcznych współziomków! klął zgubnemu darowi jenijuszu!« zawołał żywo młodzieniec. »Och! i słusznie, i słusznie! Jenijusz jestto nędza! jestto głód! zapoznany, wzgardzony, nogami zdeptany! jeźli go masz, z nim będziesz ciérpiał, będziesz — o! święte jego słowa, dźwigał ciężką na głowie koronę, która cię pokaleczy, spali, zabije. Taki los i mnie czeka. Biada! Biada! przeklęty, zgubny dar jenijuszu!« I oddalał się, zatopiony w ponuréj rozpaczy.

»Stój! nie powiedziałeś mi, młodzieńcze, nazwiska swego, a zamyślam zamówić u ciebie nowe chorągwie.

»Nazywam się Zurbara,*)« zawołał.

»Przecież wasza wielebność już raz do śniadania zasądziesz,« rzekła Izabella. I tryumfująca patrzyła na siadającego kanonika do stołu, na którym kurzyła się czekolada i wyborna *olla potrida*, tyle ciepła, że nic na swéj nie straciła doskonałości.

2.

W dwanaście lat potém, donna Izabella swoim zwyczajem oznajmiła swemu panu, wielebnemu ojcu don Maciejowi Kardozo, że śniadanie czeka gotowe; ojciec Kardozo nie mogąc powściągnąć swego zapału do poezyi łacińskiéj, dawał jak zwykle ostygać śniadaniu, wystawiając przy tém cierpliwość donny Izabelly na największe doświadczenie.

Trzy olimpijady, jakby się zapewne wyraził uczony nasz kanonik, żadnéj nie zrządziły zmiany w nałogach tych dwóch osób; a czas, mówiąc wciąż językiem klasycznym, kosę swoję przesunął po ich głowach, prawie włosa im nie zdjąwszy. Po prostu zaś mówiąc, ni jedno ni drugie nie zestarzało się; tylko otyłość świéża i połyskująca dodała nieco do potrójnego podbródka ochmistrzyni; tylko twarz pełna i rumiana, oko pogodne nie zmieniły się u czcigodnego ojca Kardozo; dowód anielskiéj spokojności umysłu i zdrowia, o czém dobrze szkoła Salernu wyrzekła: *Mens sana in corpore sano: corpus sanum in mente sana.*

Tymczasem ojciec wielebny pokonany uwagami donny Izabelly, zasiadł przy stole, odmówił *benedicite*, już zawijał mankiety, aby się zabrać swobodnie do porządnéj porcyi *olla potrida*; kiedy posługacz ze szpitalu Santa-Crux wpadł z doniesieniem, że jakiś konający gwałtownie wzywa na łożu śmierci, ostatniéj pociechy od wielebnego ojca don Macieja Kardozo.

Duchowny westchnął, odrzucił serwetę, i podniósł się, żądając swego *sombrero.*

»Poczekaj wasza wielebność — wychodzić przed śniadaniem i w takie gorąco! co to znaczy kilka minut prędzéj lub poźniéj.«

»Idzie tu o zbawienie duszy!« odrzekł ksiądz z większą surowością, niż był zwykł przeciw komu kolwiek używać.

»Wypić przynajmniéj tę szklankę wina Xeres, aby nie wyjść ze czczym żołądkiem,« nalegała donna Isabella, napełniając szklankę.

Don Maciéj Kardozo wypróżnił szklankę i udał się do szpitalu Santa-Crux.

Zaprowadzono go przed łóżko, na którém leżał młodzieniec, przed czasem, jak widać, znękany nieszczęściami. Oczy miał zapadłe, policzki wklęsłe, a nie wiele włosów siwiejących i rzadkich, na czoło blade i pomarszczone spadało. Gorzkim uśmiéchem powitał księdza, wyciągnął do niego rękę i po nazwisku mianował.

Don Kardozo zdziwiony wpatrywał się w chorego i nie mógł go poznać.

»Nie przypominasz sobie ojcze mój młodego malarza chorągwi? nie przypominasz sobie nagrobku Kamoensa?

*) Andrzej Zurbara, malarz z 16go wieku, robił wyborne portrety Filipa II. i III. Zowią go Michałem Aniołem hiszpańskim.

»Ach!« zawołał kanonik, »nieszczęśliwy młodzieńcze!«

»Prawda, nieszczęśliwy, nieszczęśliwy, bezrozumny! ścigałem widmo szydercze, nie mogłem go nigdy dogonić; ale samo ono przyjdzie usiąść na moim grobie i okryć go wieńcami!... Ojcze mój! błogosławiłeś umiérającego Kamoensa! błogosławże i umiérającemu Zurbarze.«

»Ten człowiek jest w gorączce;« zrobił uwagę obecny lekarz. »Porównywa się z Komoensem! biédny szaleniec.«

Umiérający siadł na pościeli, i dał znak, aby mu podano przygasły węgiel z kadzielnicy, którą trzymał chłopiec chórowy, przytomny ceremonii ostatniego pomazania. — Tym węglem i nie drżącą jeszcze ręką skreślił szybko na murze głowę umiérającego Chrystusa, któréj wyraz bosko-przemawiający przejął wszystkich przytomnych zadziwem i bojaźnią.

Wysilony tém natężeniem, upadł malarz na wezgłowie, obrócił się z pogardą plecyma do stojących przy łożu, a wlepiając wzrok boleśny na swoje ostatnie dzieło — skonał.

»Ach to okropnie! biédny młodzieńcze; godnyś pożałowania!«

»Pożałowania?« zawołał chłopiec chórowy. »Pożałowania?... gdy po sobie nieśmiertelne imię zostawia?«

»Ciszej!« mówił ksiądz do chłopca chórowego. »Ciszej Esteban Murillo!*) i na kolana padniéj, odmówimy modlitwy za zmarłych.«

Czcigodny ojciec don Maciej Kardozo, dopełniwszy pobożnie obowiązków duchownych, wrócił smutny i zamyślony do domu. Mimo wszystkich nalegań donny Izabelly, i długich uwag nad niebezpieczeństwem czczości żołądka, nie mógł wziąć w usta śniadania.

Jeżeli kto będziesz w Lizbonie i zwiédzisz szpital Santa-Crux, pokażą ci łóżka, na których pomarli Kamoens i Zurbara; dwie chwały Portugalii i Hiszpanii; pokażą ci starannie za szkłem zachowany ułamek muru, na którym Zurbara wyrysował twarz Chrystusa, a twój *cicerone* tak zakończy swoje objaśnienie: »W tym szpitalu Santa-Crux był także Murillo chłopcem chórowym... Senor, nie zapomniéj w spaniałości swojéj i o mnie,« doda, wyciągając rękę.

L. S.

*) Najsławniejszy malarz hiszpański; obrazy jego wysoko są cenione.

DUMA RUSKIEGO LUDU.

Ze zbioru W. z Oleska.

Na zielonéj, na carynie
Siedzą Turcy, lulki kurzą,
Przy szerbecie i przy winie,
A Romana winem durzą:
»Hej Romanie, kumie naszy,
»Przedaj siostrę Ołeneczkę,
»Dla Turczynów, dla kardaszy,
»Za jedwabną, za uzdeczkę,
»Za koniki maści karéj,
»Za siodełko, srébrne tkanie,
»Za czerwieńce, za talary
»Przedaj siostrę nam Romanie!«
Roman do dom wrócił, siada
Za stół, głowę wsparł na stole;
Dumka w dumkę, w radę rada,
Dać czy nie dać ją w niewolę?...
»Hej Oleno, hej siostrzyco!
»Stół cisowy zaściel czysto;
»Pomyj misy, niech się świécą
»Pozłocisto i srébrzysto.
»Hej Oleno, hej siostrzyczko!
»W białe owiń się rantuchy;
»Rumianeńkie umyj liczko,
»Może zkąd napłyną druchy.«
Siostra wyszła na podwórze
I poziéra w step széroki:
»Zkąd Romanie takie duże
»Dymy idą pod obłoki?
»Czy się orły skrzydły biją,
»Czy owczarze trzodę żeną?«
— »Ni się orły skrzydły biją,
»Nie owczarze to Oleno;
»Ale Turki, twoje swaty,
»Twoje druchy i bojary,
»Zawiezą cię w kraj bogaty,
»Dadząc złota co nie miary.«
Do świetlicy wpadła, chwyta
Nóż ze stoła długi, ostry,
Utopiła nóż w jelita:
»Hej Romanie nié masz siostry!
»Lepiéj było się nie rodzić,
»Niż przebijać marnie łono!...
»Lepiéj marnie z świata zchodzić,
»Niż Turczyna zostać żoną!«

L. SIEMIŃSKI.

PARYŻ JAKI BYŁ, I JAKI JEST.

Z dzieł H. L. Bulwera.

(Ciąg dalszy.)

Wiele jest miejsc, w których równa tanność życia, jak w Paryżu; ale prawie żadnego, gdzieby jak w Paryżu małym kosztem dobrze żyć można. Nie tyle tam konieczne potrzeby

życia są tanie, ile wszystko, co do zbytku służy. Monsieur Bontin, stary kawaler, którego szczątki włosów starannie są umuskane, woli nic nie robiąc stracić dochód swój roczny z sześćdziesięciu Napoleonów, niżeliby miał pracą sześć razy tyle zarobić. Zdaje wam się, że Monsieur Bontin jest z tych ludzi, co w świecie prawdziwéj nabyli filozofii, że jest wzorem dobrego smaku, człowiekiem, któremu wszystko jedno, czy w restauracyi zjada bekasy lub pulardy, czy w smutnéj samotności suchy kawałek chleba gryzie? Wcale inaczéj! Monsieur Bontin nie jada u *Very*, lecz na placu *des petits péres*, a różnica tylko ta zachodzi, że miasto ośmiu frank. płaci dwadzieścia dwa *sous* za zupę, za dwa półmiski, za wino i wety. Powiécie może, że jadło niesmaczne, wino kwaśne, wety liche; mniéjsza o to, nasz Bontin wcale się tém nie troska. Jedzenie jego składa się z tylu półmisków i tak wygląda, jak ten obiad, co sześć razy tyle kosztuje. Więcéj mu nie trzeba, tém dostatecznie zadowolony. Czasem, naprzykład, przychodzi mu chętka duchy żywotne pokrzepić w kąpieli, i tém się cieszyć wyobrażeniem, że jeszcze nie jest starym, w całém tego słowa znaczeniu. Myślicie, że dla ubóstwa odmówi sobie téj rozrywki? Wcale nie; on tylko odmawia sobie użycia *bains chinois*, za któreby trzy franki zapłacić musiał, a tymczasem udaje się na ulicę Montmartre, gdzie za dziesięć *sous*, w takiéjże ilości gorącéj wody dostaje. Jestli natury zakochliwéj? nie trwoni westchnień w przysionkach, albo za kulisami; nie szuka szczęścia ani na balu bankiera, ani w rozmowie z księżną; lecz za to rozpala serce kobiety, rozświecającéj po ulicach lampy. Monsieur Bontin, który nie nawidzi równie pracy, jak próżniactwa, równie ruchu, jak spokojności, nie dosiada ani angielskiego *paradiera*, nie używa ani doroszki, ani sługi, ani fiakra. Boże zachowaj!... Z doroszkarzem lub fiakrem stojącym na rogu ulicy, nic do czynienia miéć nie chce: raz, trud nie potrzebny, powtóre, nie potrzebna rozrzutność. Nie... z trzéma *sous* w garści oczekuje wygodnie przed drzwiami, pokąd piérwszy przejeżdzający *omnibus* nie zawiezie go z ogrodu *des Plantes* na ulicę *Rivoli*.— Powiedziałem, że w Paryżu mało ubogich, mało bogatych. Każdy pracujący zarabia sobie w przecięciu rocznie ośmset franków. Prawie każdy, co ma chęć pracować znajdzie zatrudnienie, to też przychód Paryżanina wynosi rocznie 1000 fr. w przecięciu. Na tém oparta dziwiąca nas równość, i władztwo średniéj klasy, przez nas opisanéj. Ten przychód tysiąca franków Millot na kategoryje rozłożył, i podług jego obrachunku, wodonosz więcéj kosztuje Paryżanina, niźli nauczyciel, noworoczne dary więcéj, niźli akuszer, teatr dwa razy tyle co mamka, wypożyczający książki i księgarz, połowę tego co teatr, kąpiel tyle co wypożyczający książki i księgarz, a na zbytek i rozrywki daleko więcéj wydają, niż na kosztowny artykuł domowy, na paliwo; a niech się nam nie zdaje, aby uciechom Paryżanów odpowiadało paryzkie klima. Kto u nas na mgły i na ciepłomiérz patrzy, raczy wiedzieć, że i Paryżanin na zmiany powietrza słusznie narzekać może.

Paryż ma, w przecięciu biorąc od lat 20, tylko sto dwadzieścia sześć dni znośnie pięknych. Ale cóż nie dałoby się o tych sto dwudziestu sześciu dniach powiedzieć! Zawiérają one dzieje Francyi w sobie. Słońce świéci, ważna patrzy na was osoba, która tylekroć roztrzygała losy Paryża! Przypatrzcie mu się w jego czarnéj, zabrudzonéj bluzie, w papiérowéj czapce, w zielonym fartuchu. Na wybrzeżach Sekwany, na bulewarach, w *Palais royal*, wszędzie, gdzie Paryż jest czysto Paryżem, znajdziesz go śmiejącego się, pędzącego, krzyczącego, wałęsającego się i jedzącego. Znajdziesz go na sztukach ogniowych, na pogrzebie, na weselu, przy umarłym, a przed wszystkiém tam — gdzie rewolucyja. Słuchajcie jak woła: *Vive la France*! jak rzuca się na bagnety, zdobywa działa, śmierci w brew się śmieje, i niczego się nie lęka — jak być sbryzganym wodą; po wszystkie czasy był niezwyciężony, aż marszalek Lobau z sikawką stanął mu w oczy.

Oto jest paryzki *gamin*, wiecznie jak bogowie młody: młody za czasów *Ligi*, młody za czasów *Frondy*, młody w r. 1789, młody w r. 1803, zawsze i zawsze młody, i zawsze piérwszy, gdzie tylko o żart lub przygodę chodzi; bo charakterem Paryżanina jest w ogóle charakter młodości: wesoły, bez troski, waleczny w każdym wieku, a najweselszy, najbeztroskliwszy i najwaleczniejszy, kiedy jest

młody. Takimto jest paryzki *gamin*; przy wszystkich swoich błażeństwach, przy całéj płochości; przecież łachmany jego, którémi okryty, jakkolwiek prochem poczernione, kulami podziurawione, mają coś w sobie, czém cudzoziemcowi uszanowanie nakazują. Któż jest ów tam młody, w stroju fantastycznym mężczyzna, który w czasie karnawału jako błazen, w gonitwach konnych jako *żokiej* występuje; przyjaciel od serca wszystkich kokietek i pieczeniarzy; przesycony rozpustą, oszpecony brudem w jaskiniach zbrodni? Kto jest ten nowy Polemon, któregoby filozofija nadaremnie na prawą drogę zwracała? Kto jest ten *bourgeois Bassompierre*, ten *rentier Richelieu*, który minionych czasów małpuje występki, nie posiadając ani ich ducha, ani dumnego uprzedzenia, ani ich wielkoduszności, na której onym nie brakowało wcale? mógłby grać rolę jakiego *roué* z czasów rejencyi, gdyby nie był tak głupi; mógłby być dworzaninem Ludwika XV., gdyby nie był za prostakowaty. Jestto piętno młodocianéj klasy ludzi, w zwyczajném życiu *Lions* zwanéj, przepędzającéj dni swoje na bulewarze, w lasku Bulońskim, i w domach gier. Rozmowa ich toczy się opowiadaniem ich obrzydłéj rozpusty; ich gminność, zły smak, chełpliwe, hultajskie maniery, nié mają nawet za sobą wymówki ze strony mody, a pochodzenie ich zwykle tak nizkie, jak ich obyczaje. Między elegantami Wersalu znalazłeś czasem i talenta i rozsądek, a moc i charakter, na którym zbywało im przy dworze, znachodzili na rusztowaniu.

(Dokończenie nastąpi.)

O ROZDAWANIU NAGRÓD WE FRANCYI.

Przy kończącym się roku szkolnym rozdawano w wielkiém kolegijum paryzkiém i wersalskiém nagrody za pilność uczącéj się młodzieży.

O godzinie jedénastéj napełniły się sale Sorbonny świetnémi i licznémi gośćmi. W trybunach zasiadły ustrojone, jak na operę, damy. Środek sali zajęli członkowie królewskich kolegiów i fakultetów; weszli uroczyście, poprzedzeni odźwiernymi, którzy nieśli pozłacane albo posrebrzane proporce, na końcu osadzone galijskim kogutem. Następnie weszła królewska rada uniwersytetu i minister publicznego oświécenia, Guizot, w świetnym ministeryjalnym mundurze. Widziano tam i sławnego Cousin, lecz bez gronostajowego płaszcza, w jaki koledzy jego przystrojeni byli. Królowa i księżniczki osobno zajęły lożę, młodzi książęta zasiedli na szkolnych ławkach obok uczącéj się młodzieży.

Właściwa uroczystość rozpoczęła się łacińską mową, mianą przez profesora Lemaire, w któréj piérwszeństwo klasycznym naukom dawał, i dobroczynny wpływ onych na ukształcenie szkolne wykazać usiłował. Po prof. Lemaire zabrał głos minister Guizot i zalecał młodzieży usilne zgłębianie starożytnych autorów, surową moralność i religiję. Mowa była treściwa, układ w niéj bez przygany; lecz zimne słowa nie mogły w dniu takim młodocianych serc ni podnieść, ni poruszyć; w dniu kiedy ich głowy czekały na wieńce, kiedy dokoła ojcowie, matki, siostry i powinowaci z upragnieniem na wygłoszenie imion czekali.

Zaczęto wydzielenie nagród. Rozrzewniająca to uroczystość: w chwili, gdy dziécię wystąpi i z uwieńczoną powraca głowę, gdy w trąby i kotły uderzą, gdy zabrzmi oklask młodzieży, a w sercu ucznia szlachetne myśli i uczucie osobistéj godności się budzą, matki leją łzy wzruszenia i głębokiéj miłości. Piérwsze ucznia spojrzenie szuka matki, pada w jéj objęcia, tuli je błogosławieństwo i miłość macierzyńska, i przez chwil kilka biją dwa szczęśliwe serca na świecie.

Jeden chłopiec między zwycięzcami w zawodzie umysłowych zdolności piérwszeństwo miał przed wszystkiémi; jestto uczeń z kolegijum Rollina; odebrał pięć nagród i jedno *accessit*. Podobnego przykładu nigdy nie głosiły jeszcze roczniki wydzielania nagród. Szczęśliwaś matko z takim synem! niech w przyszłości spełnią się wszystkie nadzieje, jakie ci pilność młodzieńcza rokuje! — Dwaj młodzi książęta, jakoto młody książę Aumale i Montpensier, otrzymali, piérwszy nagrodę, drugi pochwałę. — Ale nie tylko w szkołach francuzkich, lecz i w egipskiéj, dzieci Wschodu równie popisały się, jak nasze europejskie dzieci. Ze wszystkich niejaki Achmet Tahli celuje w matematycznych umiejętnościach. Młody ten 17letni Arab urodził się we wsi Benhael-Abol, w niższym Egipcié, i został do korpusu inżynierów marynarki wicekróla przeznaczonym. W towarzystwie wielu innych Arabów, jako uczeń na koszcie rządu swego, słuchał kursu w sławnéj politechnicznéj szkole, i publiczny egzamin złożył. Z wielką płynnością odpowiadał w francuzkim języku na wszystkie pytania, czynione mu przez egsaminatora, barona Raynaud, pod względem arytmetyki, jeometryi, algebry, trygonometryi i równań wszystkich stop[illegible] i t. d.; uczeń pokazał się szczególniéj biegły w algebraicznéj analizie. Trzej z jego współuczniów również pokończyli nauki i wracają do Egiptu, gdzie do kierowania

robotami kanału użyci być mają. Trzech walnych młodych Egipcyjan stawić się będzie do egzaminu w szkole politechnicznéj, dziesięciu synów Wschodu zajmuje się matematycznémi umiejętnościami, dwunastu słucha medycyny, z wielką korzyścią.

Wschód i Zachód podają sobie przyjazną rękę — umiejętności łączą, co morza rozłączyły; każdy chce w czasach dzisiejszych samodzielności swojéj złożyć dowody, i w tym tylko piérwszego szuka zaszczytu.

— Ze Lwowa. —

Z litografii Piotra Pillera wyszedł zrobiony przez Ludwika Galińskiego na jedném arkuszu: Obraz królestwa Galicyi w r. 1834 we względzie statystycznym i jeograficznym; poświęcony J. K. Mości Arcyksięciu Ferdynandowi d'Este, cywilnemu i wojennemu gubernatorowi Galicyi i t. d. Wyjmujemy z obrazu tego następujące szczegóły: Galicyja na 1569 niem. mil. kw. liczy 95 miast, 75 osobnych przedmieść, 194 miasteczek, 6054 włości, 1156 przysiołków, 659,406 domów, a ogólnéj ludności 4,376,744 dusz, między któremi 247,196 Żydów. Stan ludności miast obwodowych kraju naszego jest następujący: Wadowice mają ludności 2967; Bochnia 4998; Tarnów 4866 (?); Sanok 2661; Sącz 4565; Jasło 1702; Rzeszów 5443; Sambor 7778; Przemyśl 7818; Lwów 48,731; Żółkiew 3897; Stryj 5671; Stanisławów 8740; Zaleszczyki 2525; Kołomeja 7964; Brzeżany 6467; Złoczów 3965; Tarnopol 11,744; Czerniowce (na Bukowinie) 9050. Oprócz miast obwodowych znakomitsze są: Biała z 4111 ludn.; Wieliczka 6246; Dynów 2806; Drohobycz 10,214; Jarosław 7926; Gródek 6216; Sokal 3218; Tyśmienica 5823; Śniatyn 7004; Rohatyn 3270; Brody 16,623; Zbaraż 6161; Suczawa (n. B.) 5421.

Z Wiédnia. J. ks. Jan Jarmusiewicz, pleban Zaczerski (w obw. Rzeszowskim) wydał przeszłego roku w drukarni A. Straussa dzieło muzykalne, pod napisem: Chorał gregoryjański rytualny historycznie objaśniony i na teraźniejsze nóty przełożony dla użytku chorów kościelnych, z akomp. organu lub fortepianu; str. XVIII. i 72 *fol.* podłuż. — W przemowie (od str. I. do XVIII) zajmującéj przeszło trzy arkusze i stanowiącéj część piérwszą tego dzieła, rozprawia autor o muzyce kościelnéj, chorale gregoryjańskim, o pracach około śpiewów kościelnych w każdym wieku, jakiémi nótami chorał gregor. w kościelnych księgach jest napisany, jakie mamy książki o muzyce aretyńskiéj. W tém miejscu przytacza z polskich: ***Rudimenta musicae choralis*** w 17tym wieku przez akademiją krakowską i ***Instructio musicae choralis*** w nowym rytualiku warszawskim wydane. Poczém zwróciwszy uwagę czytelnika na swoje dzieło, i objaśniwszy nóty aretyńskie, umieścił wiadomość o wydoskonaleniu muzyce kościelnéj, z któréj wyjmujemy bliżéj nas obchodzące miejsce: »Królowie polscy robili znaczne fundusze na utrzymanie muzyki kościelnéj, tudzież codziennego śpiéwania psalmów w różnych kościołach. Zygmunt I. lubił muzykę. Monarcha ten sprowadził kapelę włoską r. 1523. Jeszcze przed Zygmuntem I. kwitnęła w Polszcze muzyka; sam Grzegorz z Sanoka, arcybiskup lwowski, był jéj przyjacielem i znawcą. Zygmunt August był wielkim przyjacielem muzyki; za jego panowania wsławiło się wielu muzyków polskich: Marcin ze Lwowa, kompozytor muzyki kościelnéj, Wacław z Szamotuł, kapelmistrz nadworny, Sobestyjan z Fulsztyna; za Zygmunta III. wsławił się Krzysztof Klaban, muzyk nadworny i kompozytor. Poźniéj byli sławni: Paligonijusz i Zeński, o których Starowolski wspomina. Wielu ćwiczyło się w Rzymie, jak np: Krzysztof Kickier, Adam Worka, Mosiążek. Słynęli także: Jan z Wierzbkowic, spiéwak, Mikołaj Gomułka, kompozytor muzyki do psalmów Kochanowskiego, wreszcie Wawrzyniec Brzeska. Z księży wsławili się muzyką: Buchowski benedyktyn, Jan Brand Poznańczyk, będący rektorem lwowskiego jezuickiego kolegijum, kompozytor muzyki kościelnéj. Sławny poeta Sarbiewski był także dobrym muzykiem.« Dalej mówi o Janie Palestryna i Grzegorzu Allegri, Włochach, którzy najbardziéj przyczynili się do wydoskonalenia muzyki kościelnéj, i wymienia poźniéjszych kompozytorów onejże. W ostatnim wreszcie (§. 51) rozdziale wylicza artystów 18go i 19go wieku, którzy naukę harmonii wydoskonalili, a między tymi z 19go Polaków: Karola Lipińskiego, Elznera, Kurpińskiego, Serwaczyńskiego, Jackowskiego, Mireckiego i Alberta Sowińskiego fortepianistę, tow. akad. paryzk. synów Apolina członka. Szymanowską opuścił czcigodny pleban. Dzieło to ze wszech miar ważne, skażone jest licznémi drukarskiémi błędami, których trudno ustrzedz się, wydając polskie książki w niemieckich drukarniach. Przypisane jest duchowieństwu galicyjskiému, które, jak słuszną i sprawiedliwą jest rzeczą, nie zaniedba ze swéj strony zaprowadzić tego chorału po wszystkich kościołach, a przezto wywdzięczy się autorowi za przypisanie onego sobie. Życzyć należy, aby szanowny autor, doskonały znawca muzyki, zajął się zebraniem materyjałów do napisania historyi muzyki, przynajmniéj kościelnéj, w Polszcze, od najdawniéjszych do najnowszych czasów, wykazując jéj początek, wzrost, różne koleje, których doświadczała, kwitnienie i upadek, oraz teraźniéjszy stan onej. Wypracowaniem podobnego dzieła uwiłby na głowę swoję nowy wieniec chwały, któréj bezsprzecznie wydaniem niniejszego stał się uczestnikiem. Wydanie ozdobne, papiér piękny. S. P.

Z Krakowa. Wyszły tu: *a)* Wspomnienia historyczne Krakowa na każdy dzień w roku. 1834. *b)* Kmita i Bonarówna; powieść z narodowych dziejów 16go wieku, przez Fr. Nowowiejskiego. 1834. *c)* Nauka chodowania pszczół oparta na wieloletniém doświadczeniu; dzieło doktora W. K. Putsche z niemiec. przełożone przez J. S., człon. tow. war. przyj. nauk. 1835. — W marcu wyjdzie dzieło P. A. Helzla, dr. fil. i pr., pod nazwą: Nowa metoda tłumaczenia natury z przyłączeniem nowéj teoryi ciepła i palenia. Pismo to rozwiązując co jest płomień, a co cieplik, rzuci oraz światło na przyczynę ciepła zwiérzęcego.

W Nr. 34. Gazety Krakowskiéj umieszczony jest wiérsz łaciński, poważnym stylem klasycznym przez X. J. Malischa napisany: Na dzień uroczystości urodzin Najj. Cesarza Austryi Franciszka I., Galicyi i Lodomeryi króla, protektora Rzpltéj Krakowskiéj.

W akademii krakowskiéj bezżeństwo profesorów tak dalece było zaprowadzone i upowszechnione, że tylko lekarzom wolno było w śluby małżeńskie wstępować. Nawet profesorowie filozofii, prawa i sztuk wyzwolonych przymuszani byli do ślubu czystości i to trwało do r. 1780.

Z Warszawy. J. Nep. Kurowski ogłosił przedpłatę na: Tygodnik rolniczo-technologiczny.

W styczniu r. b. umarł w Moskwie Wincenty Niemojewski, mimo troskliwości lekarzy i uprzejmości księcia Galiczyna, gubernatora, który mu dostarczał książek, i innéj pomocy. Zostawił pamiętniki o ostatnich wypadkach w Polszcze, które stosownie do jego życzenia zostały przesłane rządowi. (K. Kr.)

J. ks. Jerzy Palkowicz, kanonik strygoński, mąż około literatury sławiańskiéj, a mianowicie Słowaków

w Węgrzech, wielce zasłużony, znany tłumacz Biblii w narzeczu słowackiém, autor i wydawca dzieł rozmaitych, tyczących się piśmiennictwa sławiańskiego, umarł w Strygonium w Węgrzech d. 21. stycznia r. b. w 72m roku życia. Oprócz narzecza słowackiego umiał wszystkie prawie inne sławiańskie narzecza.

Gorliwy o oświatę narodu serbskiego książę Miłosz, założył w Serbii, w stolicy swojéj Kragujewaczu, gimnazyjum sławiańskie, pod kierunkiem uczonego Serba, Dymitra Issaiłowicza. Nauki w gimnazyjum tém dawane będą w języku serbskim.

Zabawy karnawału w Rzymie znowu do dawnéj świetności przywrócone zostały. Papież chcąc rozrywki ludu pomnożyć kazał piérwszemu teatrowi rzymskiemu wypłacić z kasy prywatnéj 7,000 skudów.

Julijusz Janin, ten młody zapalony, ale jenijalny autor francuzki, przedsięwziął dawać odczyty o dziejach dziennikarstwa we Francyi i piérwsze z tych odczytów odbyły się w dniach tych w Paryżu, w obec dobranego towarzystwa. Rozpoczął rzecz wykazaniem początku dzienników pod kardynałem Richelieu, i wszystkie epoki literatury téj aż do teraźniéjszego czasu przebiegał z tym ogniem przedstawienia, i z tą rzadką jędrnością w myślach i stylu, któremi zawsze włada. Gdyby był jednak naturalniéj rzecz swoję wykładał, odczyty jego byłyby większe jeszcze zrobiły wrażenie. Znaczną część rozpraw zajęła krytyka literacka dziénnikarzów, i Janin powiedział w tym względzie wiele zajmującego, trafnego i głęboko pomyślanego; szczególnie gdy ganił, był często dotkliwym i dającym się uczuć. Nie zdaje się być przyjacielem pochwały, bo gdy nawet co chwali, tak umié ubrać pochwałę swoję, że się prawie krytyką być wydaje. Tak np: przyszedł na nową, czyli, jak on ją nazywa, szkołę romantyczną: »Nowa szkoła, moi panowie,« zabrał głos, »jest *factum* historyczne; nie potrzebuje ona żadnéj obrony. W istocie saméj jest wyższą nad wszelką obronę i brakuje jéj tylko twórczości.« Kilka śmiałych przycinków, miotanych na nie dawno zmarłych poważanych autorów, jakoto: na Percevala i d'Arnaulta, słusznie że źle przyjęła publiczność, bo raz, że nie przystoi młodemu autorowi źle mówić o zasłużonych mężach, a powtóre, że każdy tkliwy człowiek czuje to, iż wszelka złośliwa nagana powinna w obliczu grobów zamilknąć.

Damie pewnéj w Paryżu, wracającéj z balu do domu, zdarzył się temi czasy zabawny przypadek. Miała najęty powóz i najętego lokaja, ale którym nie przypatrzyła się tak dobrze, ażeby ich na piérwszy rzut oka poznać mogła. Nie postrzegła więc, że inny lokaj po balu wsadził ją do powozu, ani także, że w powozie siedział już jakiś w sam róg wciśnięty człowiek. Zaledwo kilkadziesiąt kroków ujechała, gdy człowiek ów ruszył się z swojego miejsca. Dama przestraszona krzyknęła: »Przebóg! pomyłka zaszła w powozach!« Sąsiad zatkał jéj usta i odrzekł: »Nie pomyłka, moja pani, lecz umyślnie tak się stało;« i przytém upraszał ją grzecznie, grożąc wszakże puginałem, ażeby pozdejmowała rzeczy, nie potrzebne w ubiorze damskim, to jest brylanty, piérścienie i t. p. Przelękniona dama uczyniła wszystko, czego od niéj żądał nieznajomy, poczém tenże, będąc naturalnie z woźnicą i lokajem w porozumieniu, odwiózł damę przed same drzwi jéj domu, wysadził grzecznie z powozu, pocałował w rękę na pożegnanie i nim po zadzwonieniu odźwierny otworzył, piorunem znikł z powozem i ludźmi.

Lord Brougham, bawiąc roku zeszłego w Paryżu, odwiédzał wielu mężów, słynących w różnym zawodzie nauk. Będąc w akademii umiejętności politycznych, zapisał się do księgi, do któréj się obcy wpisują, temi tylko wyrazami: Brougham, adwokat i literat.

Czytamy w dziennikach paryzkich: Mieszkańcy wyspy St. Louis mieli przeszłego roku zabawną scenę. Pewien małżonek, o którym wiadomo było, że jest pod pantoflem żony — a ta pod względem wierności małżeńskiéj nie najlepszą miała sławę, i do tego stopnia nad mężem posuwała panowanie swoje, że biédak z sińcami nie raz wychodził z kłótni małżeńskiéj — obwożony był na ośle, twarzą do ogona obrócony i miał na szyi zawieszoną tarczę, na któréj napisane były wyrazy: »Bity, a jednak kontent.« Dopiéro gdy władze rządowe wdały się, zakończono to śmiészne widowisko. Podobne publiczne obwożenie na osłach małżonków, zostających pod pantoflem żon swoich, jest dawnym zwyczajem w niektórych częściach Francyi.

Pewien fabrykant fajansów w Paryżu wyrabia na dnach talérzy, półmisków, waz i t. p. historyją wszystkich nowszych narodów w obrazach, tak, że teraz przy jedzeniu nawet nabywać można wiadomości historycznych.

Gdy król angielski odwiédzał ostatnią razą zamek Chasworth, właściciel téj pięknéj majętności kazał zabić na tę uroczystość 18 wołów, 11 jagniąt, a 170 skopów. Achilles nie przyjmował lepiéj Agamemnona.

Słychać, iż gdy książę Talleyrand podczas ostatniéj swojéj choroby rozmawiał dosyć poufale z lekarzem, ten ośmielił się go zapytać, co też sądzi o interesach hiszpańskich? »Doktorze (odpowiedział siwy dyplomatyk) musiałeś wćpan postrzegać, iż zdanie moje o tém tylko daję, czego wcale nie rozumiem. Bardzo chętnie rozmawiam o sztuce lekarskiéj.«

W Stanach Zjedn. Ameryki północnéj jest teraz więcéj jak 7000 towarzystw wstrzemięźliwości, liczących blizko dwa milijony członków. Więcéj niż 1000 okrętów amerykańskich krąży po Oceanie, na których nie używają już mocnych trunków. Przykład ten zasługuje ze wszech miar na naśladowanie.

Rzadkie zjawisko okazuje się teraz na Cichym Oceanie. Większa część Wysp Towarzyskich rządzona jest obecnie przez niewiasty. Przewodniczą w naradach, tyczących się spraw państwa i każda ma w nich udział. Wszystkie krajanki bez różnicy stanu mają prawo bywać na posiedzeniach rady, i dawać głosy. Przyjęta ustawa ogłaszaną bywa publicznie w kaplicy, nowo-wybudowanéj za ostatniego pobytu misijonarzów w tym kraju. W rozprawach publicznych dowodzą niewiasty większe w ogóle od mężczyzn zdolności umysłowe. Od czasu przybycia misijonarzów na te wyspy stan niewiast zupełnie się odmienił. Zniewolnie zostały szczęśliwemi i wolnemi obywatelkami.

Książę Chak, panujący despotycznie nad narodem Natalu w Afryce, jest, podług doniesień porucznika marynarki angielskiéj Farewell, najokrutniéjszym potworem, jakiego może świat nie miał. Życiem poddanych swoich włada według upodobania, a wściekłość jego ani płci ani wieku nie oszczędza. Ma 1200 żon, a te, które mu się sprzykrzą, rozdaje urzędnikom swoim. Nie wolno nikomu zbliżać się do niego, gdy jest przy obiedzie. Podwładni raczkiem tylko przystępują do tego tyrana, a gdy z nich który ma nieszczęście rozśmiać się, kaszlnąć, lub kichnąć w jego obecności, natychmiast śmiercią ukarany bywa. Razu pewnego, gdy nie mógł utrzymać śmiéchu na widok jednego z poddanych swoich, będącego rzadkiéj szpetności, rzekł: »Oddalcie z ócz moich tego człowieka i zabijcie go, bowiem miał śmiałość do śmiéchu mię pobudzić.«

W Nr. 7. Rozmaitości naszych umieściliśmy wiadomość o publicznéj wystawie w Wiédniu arcydzieł w wyrobach fabrycznych, rękodzielniczych i przemysłowych; rozporządzenie monarchiczne, tyczące się téj wystawy, obacz w Dzienniku urzędowym przy Nrze 24. Gazety naszéj.

Redaktor: Jan Nep. Kamiński. Druk Piotra Pillera, we Lwowie.